



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Według starodawnego zwyczaju oczekiwano Świętego Marcina, który miał na białym koniu przyjechać; na niejednym stole pojawiła się gaska tradycyjna, wróżbitka ostrej albo łagodnej zimy. Jakiej barwy okazała się kość piersiowa onej gęsi nieszczęsnej: biała czy sina—nie wiem, ale S. Marcin zawiódł stanowczo oczekiwanie. Pogoda była ładna, niezakłębł się puch biały w powietrzu, ani jeden płatek śniegu na ziemię nie upadł. Przeciwnie—parę dni było tak ciepłych, że przypominały nam owe dawne, piękne chwile jesieni naszej. — To też się zaroił ludek warszawski i —oczywiście—udał się za mokotowskie rogatki, gdzie go przywitała radośnym sapaniem niewielka lokomotywka, ciągnąca za sobą trzy wagoniki...

Pomimo jednak dnia ciepłego, niespodziewano się tylu amatorów, pragnących tak późną jesienią nawiedzić opustoszały i odarty zupełnie z zieleni, choć zawsze piękny Willanów.

Wagonów okazało się za mało—tłok był duży... Ubiegła niedziela, zdaje się, że była ostatnią niedzielą, w której tylu spacerowiczów zebrało się.

To, trudno!
Choć S. Marcin siwego nie dosiadł rumaka, —ukłoni się nam zima, a czy śnieżna, czy błotna będzie, —każe nałożyć drewek w kominku i w cieplej izbie przesiadywać częściej, niż się za miasta rogatki wychylać. —Przynajmniej, co się mnie tyczy, to rad nie rad, jak ślimak, zamknę się u siebie, bo coraz większe stosy książek zbierają się na półkach, każda przeczytać potrzeba, to lub owo o niejednej napisać...

— I —schłostać może niejedną—dodaje, znowu pojawiający się, mój chochlik...

— E — nie! krytyków się nie boję, ale boję się być krytykiem...

Zawód to strasznie niewdzięczny — i przywodzi mi nieraz na myśl słowa Maurycego Jokay'a, który, gdy mu nie dawali zoile spokoju, odezwał się do nich:

„Moi łaskawi panowie — napiszcie tak, jak ja, a potem z wami mówić będę.“

Ale nie chodzi tutaj o napisanie czegoś podobnego: jednemu może się wydać dobrem, drogiemu złem wykonanie takiego, a takiego utworu; ale u nas nieraz chwałą stronę artystyczną (dajmy na to powieści) podoba się nawet rzecz sama — lecz... autor usnuł nieprawdopodobną fabułę, wprowadził niemożliwe sytuacje, słowem — stworzył powieść zajmującą lecz nieprawdziwą, t. j. że gdyby przeniesiono ją na grunt realny, wypadki musiałyby pójść inną całkiem koleją.

I w tym to poglądzie największy jest błąd panów recenzentów.

Są to ludzie przeważnie rozumni, oddani nieraz znużonej pracy, znający doskonale stosunki miejskie, zamiejskie zresztą, a nawet danej okolicy takiej, a takiej prowincyi. Ale jedna i druga prowincya toć jeszcze nie cały obszar kraju, tam dalej, dalej odrębni trochę znajdują się ludzie i warunki ich bytu są inne i temperament inny i może inne serca i głowy. Nie chcecie w każdej powieści widzieć ludzi, na których *tutaj* patrzycie — zechciejcie przedłużyć promień koła, a całkiem odrębne typy, inne nieco zwyczaje i obyczaje znajdziecie. Gdy wam się coś nieprawdopodobnem wydaje, dla tego, że to niemożliwem jest w znanym wam dobrze kawałku ziemi: nieco dalej stanie się zupełnie prawdziwem, tylko potrzeba wyrzucić z murów miasta i poznać spory kawałek świata...

Piszę te słowa pod wrażeniem sprawozdań o ostatniej powieści autora, drukującej się obecnie w *Bluszcze*: *Kłeski*. — Powieścią tą jest: *Tarantula*, i autor nazwał ją *prawdziwą*...

To z góry uczynione zapewnienie o prawdziwości opowiadania, niepodobalo się właśnie naszym krytykom. Wszystko jej przyznają, ale właśnie odmawiają tej prawdziwości, na którą autor tak silny nacisk położył. — P. C. J. w Tygodniku Ilustrowanym, recenzent w Przeglądzie Tygodniowym, nawet Hodi w Prawdzie, — (któremu autor serdeczne podziękowanie za życzliwych słów kilka posyła) — wszyscy powtarzają jedno: że — niech pisarz wybaczy, ale w prawdziwości fabuły nie wierzymy.

I co na to powiedzieć?...

Uwierzyć sprawozdawcom?...

Trudno!...

A dla czego trudno?...

Zaraz wam powiem...

Mniejsza, że znam bardzo dobrze autora omawianej powieści, ale znam równie dobrze całą historję, historję bardzo smutną rodziny Murskich, o której właśnie rzecz idzie. I nie masz tam w niczem przesady, ani w przebiegłości Tarantuli, ani w słabości Murskiego Jana, który fatalnie dał się w sieć intryg uwikłać, ani w onej herbatce rodzinnej, której uczestnikiem jest Tarantula. Wszystko to było, i autor na to własnymi patrzył oczyma, ba! — udział pewien brał w tym domowym dramacie, bo Murscy bardzo mu bliscy byli, i wiązał go z nimi nie tylko węzeł przyjaźni, lecz nawet bliskiego pokrewieństwa. I temu może bliskiemu pokrewieństwu powieść *niezupewność* swoją zawdzięcza, bo autor w opowiadaniu o ile mógł łagodził stosunki, które rzeczywiście, nieprawdopodobnemi zdawać by się mogły. Może jeden błąd Gliński popełnia, że do opowieści swoich bierze nie zwykłe wypadki, nie codzienne wydarzenia, — ha, to już taka jest jego wola i ba! — ale fabuły nie zmyśla, i każdą miejscowość i każdą osobę po imieniu mógłby nazwać. Jak w powieści *Budowniczy Szczęścia* był sumiennym opowiadaczem wypadków prawdziwych, i zna dalsze dzieje Stanisława i Julii, choć pana (zdaje się *panią*) H. J-ę *dziwiły* tam różne rzeczy — ale czemu to się ludzie nie dziwią? tak i w Tarantuli nie popuścić

wodzy fantazyi i — wbrew zdecydowanemu niedowiarstwu panów krytyków, — powieść jest — prawdziwą — ach, jak prawdziwą! Do tej kategorii należy i dziś drukująca się, *Kłeska*, — pannę Malwinę Baczynską i innych autor nie — znał, — lecz — zna...

Piszę tych kilka słów odpowiedzi, zwróconej do szanownych recenzentów Tarantuli z upoważnienia samego autora. Uwierzą im, czy nie uwierzą — mniejsza! Fakt pozostanie faktem: — Władysław zginał tragiczną śmiercią, Murski srogo ławowierność swoją przepłacił, panna Aniela żyje i cieszy się potomstwem niemałym. Tarantula, który pod nazwiskiem *Rzeźnika* znany jest w opisywanej, zkał autor jest rodem — miejscowości...

Maluczko — a posypią się wydawnictwa dla dziatwy naszej. S. Mikołaj niezapomni o „milusińskich” obdarzy ich hojnie, złotą gwiazdkę na szczycie choinki zapali i odnowi w pamięci malenstw, którym ta złota chwila upominków i pieszczot rodzicielskich, może jedynie złotą, w ciągu całego, późniejszego ich życia zostanie. — W stosownym czasie, przejrzawszy rozmaite wydawnictwa dziecinne, pozwolę choć pobieżną dać o nich wzmiankę, obecnie muszę zwrócić uwagę na parę książeczek, które leżą przede mną...

Biorę do rąk pierwszą z brzegu:

„Syrokomla o sobie” przepisał i objaśnił Wł. K. Korotyński...

Czytam i mgła zachodzi źrenice...

Smutne dzieje, a tak znajome dzieje tych wybranców bożych, którym niebo w pierś wlało natchnienie i dłoń na lutnię kazało położyć. Bieda, nędza częstokroć, borykanie się z codziennymi, a łamiącymi warunkami życia, od których ulżenia nikt dłoń nie przyłożył, występowano za to z radą: „mniej tworzyć, a doskonale.”

Mniej tworzyć, — a z czego żyć?...

Dla czego nigdy panom krytykom pytanie to na myśl nie przyjdzie? — Wiele to przez ich niecierpliwę pióro talentów się złamało, serce zaszło gorczyzłą! Ale najczęściej tak jakoś się dzieje, że później uciekną na Pragę, że drugie pokolenie nie pamięta już ich nazwisk, a torturowany męczennik podnosi się nieraz w gloryi wielkiej. — Ale nim to nastąpi, wiele ciosów bolesnych, zawodów, łamań się z samym sobą duch musi przenieść pieśniarza! Dobrze napisał Syrokomla w jednym z listów do Jana Chęcińskiego: że, nim książkę publiczność zobaczy, już ją krytyk oceni.

A jak oceni?

Częstokroć tak, że czytelnik recenzji już jej do rąk nie weźmie.

I któż by dziś pomyślał, że o jednym najpiękniejszym utworze Syrokomli, o tych *szkolnych czasach Jana Deboroga*, współczesna krytyka tak powie:

„Nie godzi się świętego powołania poety obracać w rzemiosło i karmić ogółu płodami, z których kropki pożytecznego soku nie można wycisnąć. My powinniśmy wiedzieć, co i dla czego piszemy, i dla tego też zstąpienie poezji z niebiańskich jej wyżyn na poziomy krainy gawęd bez celu i myśli, tem smutniejsze nam się wydaje, że widzimy w tem niejako zrzeczenie się, trudnego wprawdzie, ale świętego posłannictwa, jakie ma do spełnienia prawdziwy poeta.” Wspominając dalej o *Szkolnych czasach*, recenzent dziwi się, jakim sposobem można pisać „podobne błahostki, w których, oprócz łatwości wierszowania i zreżnego, gdzie nie gdzie zwrotu, niczego zresztą dopatrzyć niepodobna. Czy takim gawędem można przyznać godność poetycznych utworów — nie sądzimy” — dodaje!

Osądziła jednak potomność, — i nie prędko o *Gawędach* Syrokomli zapomniemy, podczas, gdy imię i nazwisko jego recenzenta utonęło już w fali niepamięci...

A jednak podobne sądy, mają częstokroć jady zatrute i oto co pod ciężarem tych sądów, pisze Kondratowicz:

„Ręka mi odrętwiała, pióro z rąk wypadło. Powiedziałem sobie: Niech raczej dzieci głód cierpią niż mam być codziennie chłostany od ulicznego pisarza, który twój móżół kilkomiesięczny zbędzie słówkiem lekceważenia i to najczęściej od rzeczy. Wszakże to czyta świat wprzód niż książki!”

A przecie Gazeta Warszawska i Biblioteka Warszawska te sądy wydawały. Lecz na to nie nie poradzisz: pisali od rzeczy, piszą i pisać będą zgryźliwi zoile. Mimo to jednak, zdrowy rozum ogółu,

nie dał się nigdy oszukać. Może nieraz sprawozdawcy krytyczni na błędą powiedli go drogę — lecz zawsze poznawał omyłkę i przejrzał prawdę. Dziś się nie łatwo oszukuje i jak to raz już zaznaczyłem: ogromny jest rozdział między czytającą publicznością, a sądami recenzentów. Dla tego nie lękajcie się niczego zapoznani, lecz czując wartość swego talentu, — jeżeli nie dzisiaj to jutro, słuszną odmierzą wam miarką.

Listy te Syrokomli nie są nowością, przed niedawnymi czasami drukowane były w „Wieku” (jeżeli mię pamięć nie myli) z nich też czerpał i Sowiński o Kondratowiczu pisać. Lecz dobrze zrobił p. Korotyński, że je z uwagami pewnymi podał w książkowym wydaniu, dobrze zrobiła firma wydawnicza księgarni Paprockiego, że nie żałowała na to nakładu.

Nie mogę jednak tego powiedzieć o „Dzienniku Julji” Piotra Nansena, przetłumaczonym z duńskiego przez Bernsteinównę. Nie będę jednak weale krytykował wymienionej powieści, nie powiem, że jest źle pisaną, nie zarzucę nawet *nieprawdopodobieństwa* wypadków, bo co się u nas nie dzieje, może dziać się w Danii, choć zaiste, jeżeli tak jest, smutne miałbym o tamtem społeczeństwie wyobrażenie. Jeżeli zaś książka może być *szkodliwą*, to powiem, że „Dziennik Julji” jest takim. Jeżeli Zola przedstawia brudy i każe nam w nich się nurzać, to za łeb bierze prosto i wiedzie nas do miejsca, od którego ze wstrętem się odwracasz; — mówi ci wręcz, że jest cuchnącem, ale nie rzuca na to szaty rozkosznej ułudy i nie każe upajać się złem, jako czemś niewymownie pięknem. „Dziennik Julji” rozpustę w tęczowe ubiera osłonki, a ohydny jest wprost tolerowanie występku przez matkę i świadomość córki, (której zresztą nie razi), że i matka nie jest bez grzeszku. I to wszystko opowiada się tak, jakby to była rzecz zwyczajna: używajcie póki czas! Z tego mądrość życia wychodzi.

Słusznie ongi zauważył Sęp w „Biesiadzie”, że u nas żadne pióro męskie nie dotknęło jeszcze tak drażliwych przedmiotów, jak to uczyniły panie nasze — mamy nadzieję jednak, że na taki *Dziennik Julji*, żadna nie zdobyła by się z naszych powieściopisarek. Chwalić Pana Boga, autorowie nasi, mają cel donioślejszy niż rozpamiętywanie zmysłów i dla tego obecna literatura nasza z wodzami takimi jak Prus i Sienkiewicz występuje na czoło wszechpiśmiennictwa.

Przejdźmy teraz do spraw bieżących naszego miasta. W Warszawie, jak wiadomo znajduje się Dom podrzutek imienia Baudouina przy Szpitalu Dzieciątka Jezus, zasilany ciągle, jak i inne instytucje podobnego rodzaju, przez ofiary, zawsze hojnej na cele miłosierdzia — Warszawy. Prowincja nie wielki bierze udział w tych ofiarach, choć w murach tego zakładu wychowuje się dziatwa ze wszystkich gubernji kraju. Napływ tych nieszczęśliwych pasierbów losu jest tak wielki, że dom podrzutek niejednokrotnie musi zamykać podwoje z powodu braku miejsca, jak też znowu zbyt nie nagromadzenie dzieci wpływa źle na higieniczny stan zakładu. Zwrócono na to uwagę, i oto dowiadujemy się, że zostały złożone przez różne osoby zapisy, około 60,000 rs. na nowy dom podrzutek; który ma stanąć na prowincji a utrzymywać go mają rady dobroczynne gubernyalne, przeznaczając rocznie pewną sumę. Oby myśl tylko prędzej w czyn zamieniła się, a może by w Warszawie mniej było podrzutek, na co — jak sprawdzono — dużo prowincya się składa.

Wspaniała też ofiarę otrzymał kościół ŚŚ. Piotra i Pawła na Koszykach. P. Józef Langner wraz ze swą małżonką Pauliną na pamiątkę 35-letniego pożycia małżeńskiego wnoszą kosztem własnym stale biskupie w prezbiterium kościoła. Stalle będą dębowe, na mat, w stylu romańskim. Po środku, na wzniesieniu stanie tron dla arcybiskupa pod baldachimem, rzeźbionym w insygnia pasterskie, po bokach dwa fotele dla prałatów dalej dwa taborety dla kanoników. Stalle zdobić będzie płaskorzeźba z brązu, przedstawiająca ofiarodawców klęczących pod Opatrznością Boską. I druga strona prezbiterium równe będzie miała stalle z urządzeniem ławek dla księży i kleru, zdobić je będzie płaskorzeźba przedstawiająca obecnego proboszcza i portret malowany na miedzi fundatorki kościoła ś. p. Tekli z Kozłowskich Rapackiej.

Stają więc nowe kościoły, dawniejsze przyozdabiają się; zjawi się zawsze jakiś dobroczyńca i często z niemałą ofiarą pośpieszy. Warto jednak pomyśleć i o zabytkach dawnych, których zab czasu nie szczędzi, a w które znów miasto nasze nie jest zbyt bogate. Do takich należą posągi na placu Ś-go Aleksandra: od strony północnej dwa krzyże z Chrystusem umieszczone na kolumnach z piaskowca, od strony zaś przeciwnej Ś-ty Jan Chrzciciel trzymający krzyż z wizerunkiem Żbawiciela.

Oczywiście że te posągi nie należą do arcydzieł ale znaczenia im nadaje powaga lat, boć postawione zostały przez Franciszka Bilińskiego w r. 1500. Odnowione były po raz pierwszy w r. 1685, w wieku zeszłym trzykrotnie restaurowano je, w wieku bieżącym raz tylko, podczas grasującej cholery w r. 1832, jak to stwierdza napis wykuty około podstawy figury Ś-go Jana Chrzciciela. Od tej chwili zapomniano o *Trzech Krzyżach*, a czas nieubłagany prowadzi dzieło zniszczenia.

Sekcya moniuszkowska, która niedawno urządziła była koncert celem wydawnictwa wszystkich dzieł mistrza muzyki polskiej — może się pochwalić powodzeniem. Tysiąc z górą rubli zebrano, a to już jest summa, która pozwoli pięknej myśli w czyn się zamienić. Cieszyły się też niezwykle powodzeniem i występy znanej u nas z przed kilku laty wiolinistki Teresiny Tua, obecnie, hr. Verney della Valetty. Znać dobrze zapisała się w pamięci publiczności, bo tłok był tak wielki, że sale redutowe nie mogły publiczności pomieścić i wielu odejść musiało od drzwi, nie kupiwszy żądanych biletów. Sypały się więc kwiaty i oklaski, lecz dobrze zasłużone, bo godzin parę mieliśmy prawdziwej rozkoszy.

„Wszystko się kończy dzwonem” — powiedział hrabia w „Panu Tadeuszu” i my kronikę dzisiejszą musimy dźwiękiem jego zakończyć.

Sztuka i świat muzyczny poniosły nie małą szkodę: pierwszej ubył Adolf Ostrowski, znakomity aktor, długoletni członek komedji i dramatu teatru warszawskiego, wykształcony i rozumny, wzór pracy i obowiązku, ozdoba Teatru Rozmaitości; światu zaś muzycznemu ubył Aleksander Zarzycki znakomity wirtuoz i kompozytor europejskiej sławy.

Zarzycki urodził się w Krakowie r. 1834, po odbytych podróżach zagranicą osiadł w Warszawie i z razu stanął na czele Towarzystwa Muzycznego, później został dyrektorem Instytutu. Za jego to rządów i pod jego kierunkiem pierwszy i jedyny ten zakład w kraju naszym doszedł do niebywałego rozwoju; znane zaś są starania ś. p. Aleksandra, ażeby zamilowanie do muzyki o ile można wysoko podnieść w mieście, które ukochał, z którym zrosł się — i w kraju, którego był prawem dziećciem.

Luk coraz więcej, szczerbów coraz więcej — przybawajcie nowi pracownicy i zapełniajcie próżnię!

??

M I Ł O Ś Ć.



Miłość to życie,

Miłość to czary —

Słonko w błękicie,

Złudzeń świat stary. —

Miłość to nuta

Fujarki rzewna,

Z serca wysnuta

Piosenka śpiewna.

Miłość to ptaszę

Żywe, swawolne, —

Miłość to nasze

Kwiateczki polne —

Te woniejące

Czarowną wonią

Na naszej łące

Hen — pod ustronią.

Miłość — to życie,

Wszystko na świecie

Słonko w błękicie,

Piosenka i kwiecie.

R. J.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

KLESKA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Więc tobie się Jagna podobała?—ktoś pytał.
— Ot widzisz, co nie wytrzymał, taj przyjechał—drugi głos odrzekł.

— Pan Aleksy!... — szepnęła do siebie Malwina i miała wielką ochotę zerwać się, pobiedz i powitać Chostynieckiego, ale powstrzymała się, bo nie był sam, a zresztą zaciekała ją prowadzona rozmowa.

Kamień, na którym siedziała opierał się prawie o pień starej i na poły spróchniałej już wierzby, mogła się więc ukryć doskonale, tem bardziej, że ścieżyna, którą szli rozmawiający, wiała się pomiędzy dużymi głazami i krzakami jałowcu na równi niemal z poziomem fal Rosienki. Księżyc wprawdzie był w pełni, lecz ukośnym promieniem oświecał tylko skał boki, kamień zaś panny Malwiny wtłoczony w łopiany duże, z pomiędzy których wydostawały się smukłe łodygi szaleju, rozpościerając szeroko baldaszkowate swe listki—nie łatwo mógł być dojrzały. Panna Baczynska przytuliła się do drzewa, oparła skroń swoją o wilgotne mchy porastające jego korę i siedziała cicho, bez ruchu, by najmniejszym nie zdradzić się szelestem, bo cisza ogromna w całym rozlana była powietrzu.

Chostyniecki i Andrzej szli krokiem bardzo powolnym, zatrzymywali się co chwila, stawali, nie przerywając jednak rozpoczętej rozmowy. Nie tylko słowo każde, lecz każdy szept, westchnienie można byłoby słyszeć, bo dźwięki głosów między skałami ścieśnione nie rozpraszały się tak szybko w powietrzu, oszukiwały tylko słuchającą, raz tuż za nią odzywając się, to nagle głucho, i odbiegając dalej, by za malutką chwileczkę znów do niej powrócić.

— Więc się tobie Jagna podobała — powtórzył Andrzej.

— Od pierwszego dnia, Anderku... Ot jak! — rzekł Chostyna.

Panna Malwina poruszyła się i otworzyła szeroko w pół przymknięte powieki. Zwróciło jej uwagę imię wypowiedziane przez Aleksę, Chostyniecki więc rozmawiał z Andrzejem Maleckim, z tym panem Andrzejem, o którym z takim zapałem wspominał jej podczas balu.

Gdyby go teraz zobaczyć mogła, nie będąc sama widzianą?...

Uśmiechnęła się do swej myśli, lecz nagle wzruszając ramionami, szepnęła:

— I co mi z tego?

Ale ciekawość kobieca przemogła.

Pochyliła się i rozsuwając ostrożnie zielone łodygi szaleju, kazała pójść oczom na zwiady. Lecz nie mogła nie dostrzedz; głosy choć wyraźnie do jej dochodziły słuchu, tak dziwnie się łamały, że nie wiedziała sama w jaką stronę ma wzrok swój skierować. Zyskała tyle tylko, że serce zaczęło bić mocniej, a jagody spłonęły jakby ze wstydu za ciekawość ukaraną.

Chostyniecki zaś mówił dalej.

— Pamiętasz — jak ja, zamiast na bal do Baczynskich, powiedział Sirce, żeby do Jagny jechał. Pomylił się wtedy i nie wiedział, co ta dziewczyna taki omrok na mnie rzuci. Na balu u Baczynskich nie myślał o niej, i nie myślał kiedy do Chostynów kięchał. Ale jak przyjechał i do pustego wszedł domu, to rady już sobie dać nie mógł. Ja tobie mówił, co nieraz tam czegoś mnie brakło, ale teraz, to już bardzo smutno było i tak źle, że niech Pan Bóg broni. Honyła przyniosła wieczorem kłuski z serem, ze słoniną—bardzo ja lubię takie je-

dzenie — a nie jad. Wzięła nazad cały półmisek i żeby porachowała, toby i jednej nie brakło. Ja sam z początku nie wiedział, co to za kom-dya ze mno się robi. Wyszedł, na podwórku parobkowi, czort wi dla czego, w kark dał, Sirce od szelmów nawymyślał, ot—taki jak pies zły i koniec. Aż poszedł do obory i tam ciele zobaczył... To już wiesz co mnie na myśl przyszło.

— Jagna—zaśmiał się Andrzej.

— I nie odstała już ode mnie — święto tobie prawdę mówię. — Wrócił do domu, lampę zapalił, siadł w kącie i oddał się myśleniu. Czy ja spał, czy nie spał, to tego nie wiem—ale jaby przysięgał, że Jagnę przed sobą zobaczył, stała jak malowana przedemną, różowa jak piwonja, taka sama jak wtedy, kiedy ja ciele złapał i przyprowadził do niej a ona od wstydu zaczerwieniła się. A później się wydało, co ona obejmować mnie zaczęła i całować tak silnie, że aż strach. No—to ja i zwarjowałem. Skoczył, chciał krzyczeć z radości—ale już nie było, tylko gorąco czuł w sercu, jakby kto tam żar położył i dmuchał. Pomyślisz sobie, Anderku co ja dużej! I bronić się nie będę. Ale pomarudził dni kilka, z myślami bił się, później wziął i do ciebie przyjechał.

— I dobrze zrobił, panie Aleksy—odpowiedział Andrzej.

— A czy ja wiem, czy dobrze? a czy ja wiem, co dalej będzie?

— Dla czego ma być źle? Bytność nasza u Ignacego Banasiewicza, musiała coś powiedzieć Jagnie. To na mnie, to na ciebie ukradkiem patrzała, a rumieńce na twarz jej wyskakiwały, wiele razy zbliżyłeś się do niej a mówić zaczynałeś.

— Ja nawet powiedział, co ona mnie bardzo podobała się.

— A ona?—spytał szybko Andrzej.

— Spuściła oczy i zawstydydziła się.

— To dobry znak—

— Dobry, mówisz?—

— Czas ci już, panie Aleksy, o żonie myśleć—nie zwlekaj!

— Oj, czas, czas!—westchnął Chostyna.—Jaby już i z purrehawką się ożenił, tak mnie nadojadła samotność, a tu może i jagódkę zerwie się. Ot, szczęście byłoby, Anderku—strach, jakie szczęście!

— Masz słusność—odpowiedział Andrzej. — Życie we dwoje z dobrą, łagodną, kochaną kobietą—to najwyższe szczęście—jakie ta ziemia dać może. Tymczasem to szczęście psują: albo wyrachowanie nędzne, albo przesady kastowe, albo wybujałość rozczochranych marzeń, rozpusta myśli, pragnienie tylko użycia i zabaw, zamiast zrozumienia wzniosłego celu, który, dwojgu ludziom, złączonym z sobą wieczną przysięgą miłości, niby gwiazda przewodnia świecić powinien. Młody jestem, niedoświadczony jestem—ale wiesz, że oddany sam sobie, bez możności podziatu uczuć swych i marzeń z kimkolwiek bądź innym—bom jak Twardowski zawieszony między niebem a ziemią, między światem, który mnie nie rozumie a między tym, do którego wejście mam zaparte—wiele przemyśleć musiałem i więcej pojąć niż inni. Szczęście! można je mieć—lecz nie umieją go wyszukać... A życie tak krótkie!—dokończył papołą z westchnieniem.

Ostatnie wyrazy zabrzmiały tuż prawie koło ucha panny Malwiny, ale nie starała się już ukryć; zajęły ją słowa Andrzeja, wymówione głosem dźwięcznym, spokojnym, w którym jednakże drgała jakaś struna smutku. Któżby nie myślał o szczęściu, nie chciał szczęścia?... „A życie tak krótkie“—brzmiało w duszy młodej dziewczyny.

Z myślą o szczęściu, łącząc z niem krótkość tego życia, o które tak niedbają ludzie i szanować nie umieją, siedziała panna Malwina, wsparłszy skroń o mchy wilgotne. Andrzej z Aleksym bardzo blisko niej być musieli, bo słyszała szelest ich stóp i szybki oddech Chostynieckiego. Szli bardzo powoli, zatrzymując się co krok prawie. Andrzej po chwili milczenia, jakby domawiając myśli, które w głębi snuł swej duszy—odezwał się półszeptem:

— Ale ty—będziesz szczęśliwy—

— Jagna dobra być musi—co?

— Tak—jest bardzo dobra—odpowiedział Andrzej. Stary Banasiewicz lubi rzędzić i czasem z żoną swoją okrutną kłótnię zawiedzie, ale Jagna umie ugłaskać schorowanego ojca i nie pozwala, by te

kłótnie za próg domu wybiegły. Mieszkamy, jak wiesz, na przeciw prawie, więc mogłem poznać ją bliżej. Pracowite to i dobre stworzenie. Uczy się pilnie, z każdym dniem widzę wzrastający jej zapał do nauki. I wdzięczną jest mi, że o tylu nieznanych dowiedziała się rzeczach. Od kiedy poznała „pana Tadeusza“ zaczęła karmić gołębie i wiejską otaczać się dziatwą, mówiąc jej bajki przeróżne. Siebie bardzo często nazywa Zosią i gdy się czasami spóźni do niej, zobaczywszy mnie woła już zdala: panie Andrzeju—Zosia czeka.

— To ty Anderku, kształcisz mi może żonę?—zaśmiał się Chostyna.

— I powiadam tobie, że żałować nie będziesz podjętych starań... Dziewczę warte kochania—dodał Andrzej.

— Lubo mnie o tem słyszeć, szczególnie, że to ty tak mówisz Anderku. Boże ty mój—zawołał zatrzymując się—a toby prawdziwe szczęście stało się, gdyby ona polubić mnie chciała. Jaby ją na rękach nosił, a pieścił a hołubił, że już samej królowej nie byłoby lepiej na ziemi. I tybys Anderku do Chostynówki już przyjeżdżał i patrzył na radość naszą a weselił się.

— Tak, weseliłbym się — odpowiedział Malecki. Chostyna zatrzymał się nagle i w patrzył się w pochyloną nieco twarz Andrzeja.

— Ty o wesołości coś smutno mówisz?—rzekł.

— Ja?—rzucił Andrzej—

Wyraz pewnego niepokoju zarysował się w oczach pana Aleksę. Patrzył znów chwilę, później ujął rękę przyjaciela i rzekł z powagą:

— Anderku—co tobie?

— Trochę ci zazdroszczę—odpowiedział pytany.

— Może Jagna tobie w oko w padła i ty o niej zamyślał, a ja ci drogę jak zając przebiegł i nie szczęście sprowadził—ha?

— Ależ nie, Aleksy, nie, nie!—odrzekł Malecki.

— Mów otwarcie, po przyjaźni, tak jak do Chostyny się mówi. Bo widzisz—choć mi Jagna podobała się, jak niewiem już co, na ziemi, ale jeżeli ty masz się do niej, to ja myśleć nawet przestanę o tem wszystkim, co mówił tutaj tobie. Jagna może być ze mną szczęśliwą, ale szczęśliwszą z tobą będzie, Anderku! Jagna może mnie pokochać, lecz ciebie—musi lepiej pokochać, Anderku! Ty młodość masz a i uroda u ciebie inna. Powiedz słówko a Chostyna już nie uśmiechnie się do Jagny. Ty ją lubisz, ty bardzo ją lubisz?...—pytał.

— Bądź spokojny Aleksy, nie myślałem o niej—odezwał się Andrzej.

— Tylko mów od serca, szczerze, jak dusza bratnia.

— Mówię ci jak najszczerzej.

— Bo to ja ciebie znam, co tyby szczęście swoje dla czyjegóż szczęścia oddał. Taki był i Krzysztof i ty taki jesteś. Ja was znam! A tego by ja nie chciał zrobić. Ot, byłoby—zawołał nagle—ażeby tobie życie popsuł!—Ładny przyjaciel!—Do puszek nabić i wystrzelić.

— Takich przyjaciół tylko ściska się uczciwie, jak ja ciebie w tej chwili—odezwał się Andrzej.

I słyhać było gorące pocałunki, które w cichem powietrzu rozbrzmiewały klaskaniem.

— Nie, Aleksy, ja się w Jagusi nie kocham, masz moje uroczyście słowo. Ja się w nikim nie kocham—i... zdaje się, że kochać się nie będę. Zresztą—znasz moją miłość dzisiejszą.

— Petrusia?—zapytał Chostyniecki.

Panna Malwina mimowoli nastawiła ucha.

Andrzej się zaśmiał—

— O, nie!... Gdy mi kiedyś i przyjdzie chęć ożenienia się, Pietrasiewiczówny nie wezmę.

— A ona do ciebie ma się—rzekł Aleksy.

— Wiem, wiem doskonale o tem... Ale mój Boże! co jaby robił z nią, drugą i dziesiątą? Lecz nie zarzekam się, że kiedyś, kiedyś, gdy już mi za nadto smutno i zimno będzie na świecie—spełnię wolę ojcowską i upatrzę dziewczynę jakąś, cichą, dobrą, trochę do twojej Jagusi podobną i... wezmę ją sobie. Mówiłem ci nawet o tem — dodał po chwili.

— A teraz nie jeszcze?—pytał Chostyna, jakby nie wierzył słowom Andrzeja.

— Nie, nie!...—odpowiedział Andrzej—choć mi pocziwie ojczyisko do zrozumienia czasami daje, że chciałby synową do starych piersi swoich przycisnąć. Ale za duży jest jeszcze rozdział pomiędzy

marzeniami moimi a światem, w którym żyję: Marzenia dziecinne, bo nie spełnione, a światek, o którym wspominałem—za szorstki trochę. Przyzwyczajamy się z czasem: ja zniżę się do nich, oni się do mnie podniosą—we wnętrzu moim coś się przepali, przygaśnie—a wtedy na wszystko gotów już będę.

— Tobie ciężko jest trochę, Anderku — rzekł Chostyniecki.

— Lecz coraz lepiej się robi, bo coraz mniej zaczynam myśleć o własnym szczęściu. Zrazu każdy z nas samolubem być musi. Ale, gdy dłużej nieco pobyłem w tym zaścianku naszym, gdzie z początku wszystko mnie raziło—nieco człek zmądrzał i—że się tak wyrażę — wyszlachetniał. Bo czemuż jest ta masa rojna Pietrasiewiczów, Wygów, Banasów, Czubińskich, a choćby Maćków i Bartków, jeżeli nie krew z krwi, kość z kości tych wszystkich, co przed wiekami już głowy swoje tu pokładli, krwią i potem użyźniali tę ziemię, niejeden krzyż męczeński na barkach swych nieśli i usunęli się cicho zapomniani przez los i ludzi. Wystąpili inni na czoło, którym poświęcił blask fortuny, lecz pycha ich zgubiła i—coś jeszcze zgubiło. Kilka serc szlachetniejszych tam, u wyżyn bije, kilka wielkich umysłów się błąka, dwa razy więcej serc takich i umysłów ginie marnie w walce bezowocnej—a ogrom śpi. Gdym przejrzał i zrozumiał to wszystko, jakże marne wydały mi się troski moje własne!... Ojciec mi szeptął, jak wiesz, o dwóch polach, które we włodarstwo mi oddał;—nie odrazum go pojął a gdym pojął, nie wierzyłem by tak łatwo było rzucać siew w serca do takiej nieprzygotowanej siejby, jak w ziemię, którą żelazny pług orze. Opowiadałem już tobie o dniach mojego smutku, zniechęcenia, a jeżeli chcesz—czarnej melancholii nawet. Zanurzyłem się w książkach, chcąc w nich umysł utopić, i czułem żal do ojca, że wyrwał mnie z nizin życia, by na te same kazać wrócić nizin. Raz, w pewnej rozmowie, z małutką wystąpiłem skargą—a on mi na to: „Niziny!... to ku wyżynom je podnieś!...“ A gdym wspomnił o osobistym szczęściu, posmutniał i rzekł bardzo cicho: „Więc o nich nikt nie pomyśli, ty nawet, któryś ztąd wyszedł?“ I odtąd coś mi się zaczęło wyjaśniać, i dziwna tkliwość serce wypełniać wielom razy spotkał się z nimi. I gdym się zbliżył i w pierś niejedną stuknął, nie było tam tak bardzo pusto, jak wam się wszystkim wydaje. Nie przeczę, że grunt zachwaszczony bardzo, ależ to lat tyle bez uprawy leżał. Rzuciłem jedno, drugie ziarno i powoli, bardzo powoli, lecz kielkować zaczęło. A gdym zobaczył ten pierwszy listek małutki swojego siewu, już zapragnąłem mieć grzędę większą; a gdy grządka daną mi została, o łanach zamarzyłem. I dziwna rzecz—czułem się tak dumny, jak Baczyński, o którym nieraz mówiłeś: nie przystępuj! ba—dumniejszy jeszcze, bo mam jasno wytknięty cel przed sobą, wielkie do spełnienia zadanie, ołtarz i bóstwo moje, któremu na całopalenie się oddam, zapomnę o wszystkich i o sobie, ale dokonam zacnego czynu. Już i upatrzyłem następcę po sobie w bracie twej Jagny. Dzielne chłopię, o bystrym umyśle i gorącym a kochającym sercu. Ot i masz, Aleksy miłość moją, która mi powinna i musi wszystkie inne zastąpić.

— I jesteś szczęśliwy, he? — zapytał Chostyniecki.

— Zupełnie, zupełnie szczęśliwy—odpowiedział Andrzej—bo czyż nie jest szczęściem wielkie słońca w głowach zapalać, kazać sercom tak a tak uderzać, jak Bóg tworzyć nowe światy i wyprowadzać je z nicości?...

Wypowiedział to głosem podniesionym, aż echa w skałach zabrzmiały, i odbiły się o serce panny Malwiny.

— Z jednym tylko smutkiem się noszę—odezwał się znów Andrzej po chwili—że gdy umrę, nikt nie o mnie wiedzieć nie będzie. To próżność, mój Aleksy—dodał głośniejsz—wiem, że próżność, ale jestem tak jak każdy inny, człowiekiem, żadnym wspomnieniem jakiegoś, pamięci, więc nie dziw się temu!—

— Obawy nie ma — odpowiedział Chostyna — w chatach i dworach na długi czas będzie o tobie gadania. Czy to mało?..

Andrzej ujął go za rękę —

— Prawda!—Nieraz, wieczorami będą mówili o mnie, i twoja Jagna pobiegnie kiedyś na cmentarz, by wianuszek nieśmiertelników położyć na grób Anderka.

— Ot, masz dokąd zajeżdżać! — zawołał Chostyniecki. — Poczekaj, poczekaj jeszcze ze śmiercią, ty musisz pierwej zrobić, co zamierzył, a później na wieczne odpocznienie iść. Ale nie ty jeden tylko, Anderku, zrozumiał, jaka to robota być powinna teraz, ale i ktoś drugi coś podobnego robi.

— Co, gdzie?—zapytał —

— Aha? zaciekawił?—zaśmiał się Chostyna —

— Nie dawno tu jestem — odpowiedział Malecki,—więc mogłem o niczem nie słyszeć. No mów—kto to taki?

— Córka Baczyńskiego —

— Panna Malwina? — zapytał Andrzej głosem pewnego zdziwienia.

— Ona sama.

— Śliczną ma być. Ojciec mi mówił o niej.

— Zdziarski się do niej bierze. Wiesz, ten graf z Miedzianej-Grobli.

— A jakim on jest?

— Splunąć i konieć!—rzekł Aleksy.

I zrobił, jak powiedział —

— Lecz zacząłeś mi mówić o panie Baczyńskiej.

— Posłuchaj!

Chostyna opowiadał z zapalem, bo lubił pannę Malwinę. Opowiadał o jej piękności, dobroci serca, rozumie, wreszcie zaczął mówić o wpływie dziecięcia jako ona na lud wywiera z powodu wiejskiego funduszu, o którym Andrzej, jako o rzeczy dobrze wiadomej, więc nie powtarzał, nie wiedział nie dotąd. Słuchał więc z niemałym zajęciem, stojąc przed gestykulującym Chostyną, a gdy ten skończył opowiadanie, pomyślał chwilę i rzekł, jakby do siebie:

— To dziwne! ja tu, a ona tam pracujemy dla jednej idei... Idziemy po jednej drodze, do jednego celu... a niespotkamy się nigdy!...

— Dla czego? Możesz ją zobaczyć, Anderku!

— Przez okna mojego pokoju, przez dziurkę od klucza pałacu Baczyńskich. Tak, to mogę!—rzekł, jakby z przekąsem.

— Pany!—odezwał się Aleksy.

Szli dalej w milczeniu.

— I o czem ty myślisz, Anderku?—zaczął Chostyna —

— O czem?... Cha-cha-cha! To śmiesznie powiedzieć!...

Zatrzymał się.

— Wiesz o czem, Chostyniecki?...

— Ciekawy!

— Gdyby z takim sercem i z myślą taką, jak ta twoja panna Malwina, mieć żonę, ach! jak sporoby szła praca nasza, jak dzień każdy wypełniony byłby szczęściem i trudem roztępnym!

— Ba!—odezwał się Chostyniecki.

Panna Malwina oparta o pień wierzby zaledwie już dosłyszała ten okrzyk pana Aleksego. Minęli ją i byli już daleko, prawdopodobnie u stóp skały, z której zbiegła przed chwilą, gnana gorączką dziwnego niepokoju. Nie poruszała się jednak, bo wracać będą i mogłaby ich spotkać. Przyszłoby jej łatwo wprawdzie wytłomaczyć się przed Chostyną z tej ponoć wycieczki—znał jej usposobienie szalone, zachcianki dziwaczne, a jednak nie mogła ruszyć się z miejsca i postawić naprzód kroku jednego.

Słowa Andrzeja dziwne uczucia budziły w jej duszy. Opowieść jego prosta, o smutku, który zrazu w duszy się jego rozsiadł, zanim zbudował ołtarz dla szczytnej idei i szedł na całopalenie dla dokonania czynu bardzo podniosłego, koniecznego bardzo i bardzo trudnego — była jakimś głosem z innego świata, który i ją powoływał do pracy podobnej. I ona nieraz myślała o tem, i nieraz rozglądając się do koła, widziała, że źle się dzieje, że szczerbów coraz więcej a dłoni murarza nigdzie nie było. Namietny jej temperament porывał ją do czynów jakichś, gorące serce chciało miłości innej, niż ta, o jakiej wciąż jej mówiono; wiedziała, że życie jest wielkim darem niebios ale nie po to dane, by je zamienić na salę balową. Sal tych jest dosyć lecz więcej ruin i gruzów a życie krótkie — potrzeba więc je czemś zacnem wypełnić, by po skończeniu ziemskiej wędrówki móc coś o niem powie-

dzieć Panu Bogu. Pochlebiali jej słowa Aleksego, gdy mówił o niej, dziwne drżenie uczuła w piersi, gdy Andrzej powiedział wypowiedziane niegdyś przez nią słowa: „ja tu, a ona tam dla jednej pracujemy idei!“ Spłonęła rumieńcem, gdy zasłyszała zdanie: „Mieć żonę z sercem takim, a dzień każdy wypełniony byłby szczęściem i trudem roztępnym!...“

Dziwny ten pan Andrzej! Mówił tak, jak nikt jeszcze nie mówił z jej świata, w którym żyje i obraca się.

Zaczęła marzyć, Bóg wie o czem. Oparła piękną głowę o miękkie mchy drzewa i w jakiś na jawie sen zapadła.

W tem coś zaszumiło za nią, przed nią i nad nią...

To wiatr nagły się zerwał —

Malwina jeszcze nie mogła rozproszonych myśli zebrać i zrozumieć tej gwałtownej zmiany w przyrodzie, gdy grzmot się odezwał i ogromna błyskawica oślepiła jej oczy a jednocześnie suchy trzask i oranu rozdarł powietrze. I ot, jakby na dane hasło, poruszyły się drzewa wszystkie z szumem ogromnym i partę jakąś siłą szaloną wyciągnęły przed siebie ramiona swych gałęzi, jakby o litość błagając.

Malwina skoczyła i wbiegła na ścieżkę.

Z za skał jarneńskich wysuwała się chmura o barwie płowej i szła do niej. Chmurę poprzedzał wiatr i niósł tumany kurzu i piasku, i miotał masą liści, które niby deszcz suchy wypełniły całą szyję wąwozu. Zbliżała się jedna z tych burz letnich, które mijają szybko, lecz przechodzą gwałtownie. Na chmurze rysowały się szare pasy olbrzymiej ulewy, już duże krople deszczu, choć rzadkie jeszcze, lecz z dziwną mocą uderzały o ziemię i dzwoniły o fale wzburzonej Rosienki. Chmura poruszała się szybko, i szła z ogromnem milczeniem, warcząca głucho przewracającymi się w niej gromami. Lada chwila zakryje księżyc i ciemność na świat padnie.

Pannę Malwinę strach ogarnął—zaczęła biedzić, ale wiatr oddech piersi zapierał. Krople deszczu padały coraz większe i częstsze, jar cały wypełnił się jękiem i szumem, drzewa i krzewy na skałach rosnące, bolesny jakiś lament podniosły. Malwina biegła, chcąc dopaść brzegu jarneńskiej skały i zawczasu na jej szczyt się wydstać. Trwoga ją jednak przejmowała na myśl, że w połowie tej drogi niebezpiecznej, zaskoczy ją burza i ciemność, ale innej rady nie było, musiała spieszyć, walcząc z przemocą pasującego się z nią wichru. Już dostrzegła koronę olbrzymiego jaworu, który chwiał się jak okręt falami miotany—gdy przed sobą posłyszała szybkie kroki wracających.

W tem błysk i piorun—krople deszczu lada chwila w nawałnicę się zmieniają, a brzeg chmury dosięgał już tarczy księżyca.

Malwina stanęła olśniona błyskawicą, wiatr warokce jej rozplątał i targał niemiłosiernie.

— Anderku—burza! — odezwał się w pewnem oddaleniu strwożony nieco głos Chostyny.

— Panie Aleksy!—krzyknęła Malwina.

— Jezus Marya!—zawołał Chostyniecki—i skończył naprzód!

— Panie Aleksy! — powtórzyła wyciągając ręce do nadbiegającego.

— To ty, królowo moja? tu—sama—w nocy?...

— Pomóż mi pan wyjść na górę. Sama nie wyjdę. Co za wiatr!

Wiatr oddech jej tamował, miotał białą sukienką i warkoczami rozspanami. Chostyna stał przed nią, nie wiedząc, co począć.

— Ja—na te góry?—spytał.

— Zbiegłam, chcąc użyć przechadzki—w tem... burza! Tędy jedyna droga do domu.

— A innej nie ma?

— Trzy wiorsty.

Chmura okryła księżyc. Już zapach ulewy czuć było w powietrzu, krople deszczu coraz większe z większą padały siłą, rozpryskując się na skałach.

— Co za wiatr!—powtórzyła Malwina, zasłaniając oczy przed kurzawą.—Pomóż pan... Sama nie wyjdę!

— Królowo moja, — rzekł Chostyna, składając ręce, jak do modlitwy,—ty i ze mną nie wyjdiesz, bo ja zaraz na dół hepnę —

W tej chwili podbiegł Andrzej i stanął przed Malwiną. W głębokich cieniach nocy, rysowała się tylko postać jego smukła, naprzeciw której stała panna Baczyńska, jak widmo białe, oddane na pastwę wichurom swawolnym.

— To niema co długo gadać—bo za minut parę burza się wścieknie—zawołał — czekaj tu na mnie Aleksy. Służę pani—bez wahania się tylko, — dodał, — bo noc i pioruny hukną — żartów nie ma!

Podał ramię pannie Malwinie.

— Zna pan drogę?—pytała.

— Błyskawice pokażą—

— Deszcz pada! Jak się wzmoże — boję się uszliżnąć.

— Na rękach wyniosę panią.

W tem piorun rozdarł powietrze i olbrzymią światłością zalał jar cały.

— A słowo stało się ciałem—szepnęła Malwina—i przypadła do ramienia Maleckiego.

Podczas krótkiego błysku spojrzeli na siebie—byli zwrócenii twarzą do twarzy. Andrzej dojrzał przecudne rysy dziewczyny, oczy jej szeroko rozwarły i usta zbieleły nieco; w spojrzeniu panny Baczyńskiej na jedno mgnienie powiek zarysowała się piękna twarz męczężyny o oczach ciemno szafirowych, z wyrazem energii i siły.

Po wielkiej błyskawicy, nastąpiła ciemność ogromna. Andrzej ujął ramię Malwiny i jakby ją przykuł do siebie; lecz oświł się szybko z ciemnością i szedł krokiem śmiałym z kamienia na kamień, wyżej i wyżej, kierując stopami przygodnej swej towarzyszki.

Panna Malwina niepewnie szła zrazu, ale widząc, że jest prowadzoną przez rękę silną, nabrała zwykłej odwagi i już stawiała krok pewny, odwracając się od czasu do czasu od wichru, który jej oddech tamował. Andrzej czuł wtedy jej tchnienie ciepłe, przyspieszone falowanie piersi i silne bicie serca. Od wzmagającego się deszczu, kamienie stały się ślizkie. Parę razy noga dziewczyny usunęła się, ale Andrzej szybkim ruchem ręki obejmował wtedy jej kibić i od upadku ratował. Trzymał ją teraz obiema rękami, bo droga stawała się coraz bardziej stroma, a wyrwy coraz większe. Szalony wiech porwał nieraz fale włosów panny Malwiny i rzucał je na twarz przewodnika, który, odzywał się krótko:

— Włosy pani zakryły mi oczy — odgarnij je—tylko szybko, bo baczycie muszę na krok twój każdy.

I ręka dziewczyny dotykała twarzy Andrzeja, uwalniała czoło jego z miękkiej zasłony warkoczów a on czuł ciepło jej dłoni, dotknięcie jakieś aksamitne, które nie zniknęło, choć panna Malwina dłoń swoją odjęła.

Szczęśliwie przeszli połowę drogi, najniebezpieczniejsza została przed nimi. Czasem Andrzej rozpatrywać musiał i przejścia szukać, wtedy Malwina znając dobrze miejscowość, wskazywała mu, którędy iść było najlepiej. Malecki szedł śmiało, ale dla utrzymania równowagi, nieraz chwycił się ruchomych gałązek jałowcu, lub splotów chmielowych. Lewą więc rękę swobodną mieć musiał, prawą zaś bez skrupułów żadnych objął w pół wiotką kibić Malwiny, trzymał mocno i nie puszczał już wcale.

— Nie wstydź się, pani—lecz weź mnie za szyję, silnie tylko,—bo tutaj żartów niema. Wiatr się wzmaga i w tył mnie pecha, już desz z zalewa oczy, najgwałtowniejsza burza może nas spotkać nad przepaścią. Obejmij mnie pani!—tak!

Rozkaz wydany był krótko i szybko spełniony. W tem zaszumiło straszliwie i deszcz lunął, jak z wiadra, ale już byli u samego brzegu ogrodu jarneńskiego. Malwina poznała ogromny szum stuletniego jaworu, z głazu na głaz parę skoków tylko uczynić i byli ocaleni.

W tem bliski trzask piorunu ogłuszył ich, Malwina drgnęła i obiema rękami chwyciła za szyję Andrzeja, przytulając głowę do jego piersi. Zdało się, że sił jej zabraknie do przejścia tych kroków kilku po kamkach wiszących już prawie nad urwiskiem—ale wnet odezwał się głos Andrzeja.

— Bez trwogi—ja jestem przy pani!

Ta pewność była dla niej kotwicą ratunku, ale po tem bliskim uderzeniu pioruna, szum w uszach nie pozwalał jej myśli zebrać. Chciała iść naprzód lecz nie mogła jednego kroku zrobić, a tu burza całą nawałnicą uderzyła, błysk po błysku, grom bił

po gromie, a wszystkie deszczu krople nagle złączyły się razem, i olbrzymią lunęły ulewą. Wiatr się rozhułał i parł na dół Andrzeja, którego pociągał jeszcze ciężar na półomdlałego ciała Malwiny.

— Tu żartów niema! — mruknął Malecki pod wąsem.

Schylił się, uniósł Malwinę jak dziecko małe, i gdy nowy błysk piorunu oświecił mu drogę, sam szybko jak piorun z głazu na głaz się rzucił.

— Ha—jesteśmy! — zawołał, stawiając Malwinę pod konarami jaworu.

— Jesteśmy—szepnęła panna Baczyńska.—Jaki okropny mam szum w uszach. Co za wiech i deszcz!... Gdzie pan jesteś, panie Andrzeju?

— Tu—przy pani. Teraz pani mnie prowadź, bo nie znam drogi do pałacu, a pani już do niteczki zmokłaś...

Podał ramię i aleją grabową iść szybko zaczęli, ale Malwina zdawała kroku, uciekając przed wiatrem, który ją unosił, przed deszczem, który oblewał ją całą.

— Powoli—pani, piorun po piorunie bije—nie wolno biedzi!

I zatrzymywał uciekającą, tulącą się zarazem do jego piersi męczkę.

Panna Malwina, wychodząc na przechadzkę, zostawiła okno otwarte, lecz lampy nie było. Teraz okno było tak samo otwarte, ale lampa paliła się w pokoju i pełgała, bo wiatr dolatywał do wnętrza i chwał płomieniem. Widocznie Agatka podczas nieobecności panny zapaliła tę lampę.

Zdwoili kroku i stanęli przed oknem.

Malwina zwróciła się do Andrzeja:

— Podaśz mnie pan!

Z pomocą skoczyła do środka—Andrzej w pół się przechylił przez okno. Teraz pełny blask lampy oświecił ich twarze i spojrzeli na siebie z wyrazem jakiegoś zdziwienia.

Oboje byli młodzi, oboje nad wyraz piękni.

Ta piękność ich zdumiała.

Pomimo, że Malwina źle się przedstawiła Andrzejowi, bo zmoczona sukienka przylgnęła do niej, a rozrzucone i mokre włosy nie miały miękkości i połysku swego—Andrzej patrzył jednak na nią, jak na zjawisko cudowne i zapożniwał, że deszcz go w plecy ćwiecze, że pioruny rozstrzaskują się za nim i burza szaleje.

Trwało to chwilę.

Wyciągnął rękę i odezwał się—

— Czy pozwoli pani sobie pożegnać?

Wtedy i panna Malwina oprzytomniała. Ale obejrzała się szybko i silny rumieniec twarzy jej okrył. Wyciągnęła rękę na pożegnanie i rzekła zmieszana.

— Dziękuję. Ale jak pan pójdiesz w szalony deszcz taki?...

Chciała go poprosić, by odpoczął, ale którędy wejdz?

Przez okno?

Zawahała się.

I nagle jej myśl przyszła, że gdyby zamiast tego okna drzwi były, mógłby wejść bez skrupułu i nie by na tem nie ucierpiała śmieszna, światowa formułka. Lecz w chwili takiej nie zaprosić go do siebie jej by choć odetchnął i odpoczął, wydało się, że dziwaczne. Zaśmiała się i choć zarumieniona, jak róża, rzekła te słowa:

— A chodź już i pan tutaj...

— A Chostyniecki?—zapytał Andrzej.

— Prawda!—zawołała Malwina.

— Nie mogę korzystać z zaprosin pani, choć Bóg jest świadkiem, jak ciężko mi odchodzić. Ale—

Skłonił się i odbiegł od okna.

Burza szalała, piorun za piorunem uderzał, i—podczas chwilowego blasku widziała Malwina smukłą postać Andrzeja, który biegł aleją grabową. Wstrzymywał się nagle, gdy błyskawica rozdzierała niebiosy; widocznem było, że blask go oślepił, albo przy tem świetle niebieskim stawał i szybkim spojrzeniem szukał drogi powrotnej. Widziała go tak razy z dziesięć, dopóki nie zniknął w cieniach nocy i gąszczy krzewów.

Nagle strach ją ogarnął.

Jak on teraz urwiskiem w dół się spuści?

Noc—wiech—ulewa—po każdym błysku piorunu ciemności nieprzeniknione, a głazy mokre i śliskie, nagle wezbrane potoki niejeden kamień usunąć

mogły, niejedną wyrwę zrobić, niejedną zdradziecką zastawić zasadzkę.

Ona знаła to przejście, on je poznał przed chwilą. Runąć łatwo i białe czoło o skały rozbić—

Strach coraz większy ją ogarnia, — wychyliła się przez okno i nie zważając na deszcz, wiatr i pioruny patrzy w ciemność i słuch na zwiady wysyła.

Lecz wszelki głos, krzyk wszelki utonąłby w szeleście ulewy i szumie tysiąca drzew rozkołysanych.

Panna Malwina przymknęła okno i usunęła się na kłęczki...

— Pod Twoją obronę uciekamy się Święta Roza Rodzicielko — zaczęła szeptać drżącymi ustami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii.

Obchodziliśmy tu uroczystość niespotykającą się już nigdzie więcej; wiencono poetę, a akt ten, w średniowiecznych formach swoich wielce wspaniały, przenosi mimowoli widza w czasy, gdy bardowie opiewali przy dźwiękach lutni czyny zakutych w stal rycerzy. Taki poeta laureatus mianowanym tu bywa przez koronę, a za panowania królowej Wiktorji było ich dwóch, Wordsworth i Tennyson, poczem nastąpiła luka, bo według naszego wyrażenia poeci nie rodzą się jak grzyby po deszczu. Dolegało przecież anglikom to osierocenie lutni narodowej w społeczeństwie naszego czasu, aż nareszcie wyciągnął po nią rękę człowiek prawdziwego talentu i wyższej nauki, względnie młody jeszcze, bo liczący lat trzydzieści kilka, Edward Arnold, a który wcześniej, bo w dziewiętnastym roku już zaczął tworzyć a zaczął niepospolicie, bo pierwszym jego utworem była rzecz oparta na tle starożytnem „Uczta Baltazara“ Jest też to człowiek nie tylko z talentem, ale bardzo uczony, zwiedził też niemały kawał świata, bo przez lat kilka przebywał w Indiach wschodnich, był dyrektorem kolegium sankryckiego w Puna, a dodać należy, że umysł to nie tylko głęboki ale i żywy bardzo, zajmujący się wszystkim, co jest ruchem życia wśród ludzkości, bo z jego to inicjatywy wysłano kosztem rządu uczonego badacza starożytności, Jerzego Smith, do Asyrii, a wyprawa Stanleya na poszukiwanie Liwingtona wyszła z jego myśli, z jego szlachetnego pojęcia obowiązków względem ludzi, zasłużonych społeczeństwu.

Ostatni jego poemat „Światło Azji“ ma za przedmiot wytworzenie się budyźmu, a rzecz to głęboko pojęta i szlachetnie oddana. Człowiek potrzebuje czegoś więcej niż oparcia się stopami o ziemię, że przecież ta jego rodzicielka jest mu podporą więc nie może, nie powinien oderwać się od niej i tylko przez tęsknotę za ideałem nadziemskim podnosić wzrok ku górze. Krytyka bardzo wysoko podniosła ten utwór jego, rzeczywiście piękny jako dzieło sztuki rymotwórczej i myśli filozoficznej; poeta otrzymał mnóstwo listów od ludzi umiających pojmować znaczenie oddziaływań poezji na uczucie, czego Anglii potrzeba więcej, niż innym krajom, bo przemysł wzrasta tu ogromnie i niemal gorączkowo, więc chłonie w siebie myśl, która się skupia coraz więcej w nabytkach korzyści realnych.

Jakim jest ruch i postęp w tym kierunku, wyrazić trudno. Budujący się tu obecnie przeogromny parowiez śrubowy, przeznaczony dla Towarzystwa transatlantyckiego, jest to olbrzym, mogący wiać 20,000 tonów ładunku, więc przewyższający wielkością swoją ów sławny w świecie marynarki statek „Great Eastern.“ Czy będzie z niego jakiś pożytek praktyczny? to pytanie, bo i ów wspomniany olbrzym jest raczej przedmiotem pychy nowożytnego postępu, niż rzeczywistej korzyści w zastosowaniu go czynnem. Żaden z największych parowców Towarzystwa transatlantyckiego nie zdołał unieść większego ładunku nad 13,000 tonów, a jest takich dwa tylko: „Lucania“ i „Campania“ Nowy statek przeznaczony ma być do przewożenia towarów,

niemniej obejmować będzie 200 kajut z miejscem na 1,500 ludzi i już to nasz wiek otwiera człowiekowi te drogi, przez które staje się on rzeczywistym panem ziemskiego świata. Słusznie też obchodzono tu bardzo uroczyste wspomnienie dnia tego, w którym raz pierwszy pociąg kolei żelaznej został w ruch puszczony, a było to w d. 27 września 1825 r., i ubiegał on wtedy 15 mil angielskich na godzinę, a pierwsi podróżni uważali to za rzecz niemal cudowną. Dziś ta gałęź pierwszej kolei stała się częścią linii Eastern Railway, która posiada 90,000 wagonów i 1,500 lokomotyw, a człowiek jest tu niesiony siłą pary przez 671,170 mil kwadratowych. Anglię obliczyli z cierpliwością i ścisłością swoją, że połowa długości kolei żelaznych, czyli 360,415 kilometrów, przypada na Amerykę, która ma 122,000 mil kwadratowych więcej niżeli Europa, posiadająca ich 238,550 kilometrów.

W Azji kolej ubiega 38,788 kilometrów, a zwiększy się to bardzo w roku przyszłym, gdy linia syryjska ukończoną zostanie. Afryka nawet ma 12,384 kilometrów kolei, Australia 21,030, i człowiek może sobie powiedzieć teraz, że jest rzeczywistym panem świata, a Anglia odzywa się przytem dumnie, że ona to zniosła przestrzenie i za jej sprawą świat cały stał się własnością człowieka.

Przekonanie o sile swojej czyni ludzi dumnymi, Anglia zachciała też przypomnieć światu swoje tryumfy wojenne i w ubiegłym miesiącu obchodzono w d. 21 bardzo uroczyste rocznicę zwycięstwa Anglii nad Francją pod Trafalgarem, jakkolwiek nie łączyło się z tym dniem żadne wspomnienie, mogące dać temu powód. Może chciano, aby młodzież angielska odczuła zasługi przeszłości, może chciano zaprezentować Europie czego dokonać by mogła w razie potrzeby, a łączyło się z tem poniekąd spuszczenie na fale morskie olbrzymiego okrętu „Victorius” jednego z siedmiu, które wzmocnić mają siły marynarki angielskiej, a są to statki jakich niewiele posiada Europa, bo każdy ma objętości 15,000 tonów, a maszynę o sile 12,000 koni parowych. Budowa okrętu „Victorius” trwała rok przeszło, podobnie jak innych: „Prince George,” „Majestic,” „Magnificent,” które obecnie prują już fale morskie, a tylko jeszcze potrzebują być uzbrojone i wtedy pomnożą eskadrę kanału La Manche. Anglia i powie dzieć można anglik każdy dumny jest z tej szybkości i energii, jaka tu jest rozwijana, a niemałe zasługi oddają tu nurki, wszyscy ludzie dzielni, a przytem rozmiłowani w zawodzie swoim. Każdy okręt posiada takiego nurka, który w danej chwili jest zawsze gotów zanurzyć się w toń morską, a otrzymują oni znaczne wynagrodzenie za każdą godzinę spędzoną w falach morskich; niekiedy zanurzają się w głąb od 5 do 19 stóp, niekiedy od 25 do 28. a każdy okręt musi mieć swego nurka, który nie jest bynajmniej bezczynnym, bo zdarzają się rozmaite wypadki zatonięcia nie tylko ludzi, którym na ratunek śpieszą, ale trzeba im często zanurzać się w toń morską, aby opatrzyć dno okrętu, które jaka rafa uszkodzić mogła i śmiało też powiedzieć można, że zasługi tych odważnych pływaków przewyższają żołnierzy stojących w szuku bojowym, na przeciw strażów nieprzyjaciela.

W końcu zeszłego miesiąca Londyn mógł oglądać ludzi niemniej odważnych, niemniej poświęconych dobru bliźniego. Odbył się tu właśnie zjazd angielskich stowarzyszeń misyjnych dla uczczenia pięćdziesięcioletniego jubileuszu jednego z pomiędzy nich, którego działalność zaznaczyła się szczególnie. Przyjmowano tych rycerzy krzyża, jak się wyraził jeden z dziennikarzy, bardzo uroczyste, a dodać trzeba: że nie była to tylko forma prosta, bo twierdzić można, że cały naród angielski bierze gorący udział w postępie prac misyjnych, czego dowodem jest, że w ciągu ostatnich stu lat Anglia wydała na ten cel ogromną sumę pieniędzy: 80,000,000 funtów szterlingów. Działano w Chinach, w Indo-Chinach, w Indostanie, w Afryce, a przecież plon nie zdaje się dostatecznie odpowiadający tak znacznym ofiarom, ale rzeczy te nie czynią nigdy i nigdzie postępów prędkich, bo niełatwo jest wyrwać z duszy człowieka to, co od urodzenia było mu najwyższym ideałem. Przecież podnoszą się pomimo to głosy, że misye anglikańskie nie wywierają dla tego na nawrócone ludy tak silnego wpływu, jak misye katolickie, ponieważ tu misjonarz ten samotny, oddany tylko służbie bożej i czynom

miłosierdzia, czynom miłości bliźniego, silniej, oddziaływa na wyobraźnię i uczucie nawróconych, którzy odczuwają, co tu jest ofiarą, co tu jest poświęceniem istoty własnej.

Obok tego misye katolickie kosztują społeczeństwo mniej, ponieważ misjonarz jest sam jeden, nie obciążony rodziną. Obliczono, że katolickie kolegium Mill Hill, rozsyłające misjonarzy na wszystkie strony świata, wydaje wszystkiego 1,600 funtów szter., co w obec wydatków misyi anglikańskich jest rzeczą drobną.

W dziedzinie sztuki najważniejszym dziełem obecnej chwili jest tu posąg królowej Wiktorii, wykuty z sycylijskiego marmuru w wysokości naturalnej, wykonany przez rzeźbiarza Thornwaldsena. Wysoki na jeden metr i siedemdziesiąt centymetrów, umieszczony będzie na cokule mającym wysokości półtrzecia metra. Artysta prosił monarchinię o pozwolenie wystawienia go w pracowni swojej na widok publiczny i skoro królowa przychyliła się do tego zdania, ciśnie się tam od rana do wieczora mnóstwa osobom ze wszelkich sfer społeczeństwa. Posąg przedstawia monarchinię w stroju uroczystym średniowiecznego stylu, z dyademem królowej Elżbiety nad czołem, z berłem w ręku. Order Podwiązki jasnieje na prawej ręce, umieszczony jakoby bransoletą, na szyi starożytna kolia brylantowa wartości dwóch milionów franków. Nie jest to pierwszy posąg królowej, Anglia posiada ich kilka i w Londynie samym jest ich trzy, wzniesionych przez naród; fundusz składany na to powstawał z grosza wszelkich sfer społecznych, a dodać trzeba, że brała tu udział znaczny młodzież, której należy się za to słowo uznania.

Nieznany jest tu prawie zupełnie ten typ burza, który hałasuje w Niemczech, lekcując wszystko i wszystkich; młodzież angielska daje ujście nadmiarowi sił młodych w meczach tych igrzyskach, które pomagają im wyrastać dobrze na mężów silnych i zdolnych nieść potem brzemień pracy i trudów życia. Właśnie w tym czasie młodzież dwóch, najwyżej tu w opinii ogółu stojących uniwersytetów: Oxford i Cambridge, dokonała wyboru tych z pomiędzy siebie, którzy z przyszłą wiosną wezmą udział w wyścigach wiosłarskich. Każdy z pomiędzy tych wybranych poddaje się regule, jaka tu jest nakazana pod względem ćwiczeń i wzmacniania siły; młodzieńcy ci wstawiać muszą o siódmej godzinie z rana i zaraz po zimnej kąpieli następuję długą przechadzkę; po ósmej herbata bez cukru i bez śmietanki z porządną porcją czerstwego chleba, jaj i mięsa. Obiad jest podobnie posilny, lecz bynajmniej nie wybredny; podany o godzinie 2-giej, składa się z wołowiny lub baraniny, czerstwego chleba i pół litra piwa. Następnie o godzinie trzeciej ćwiczenia wiosłarskie na Tamizie, wieczorem kolacja z zimnego mięsa, czerstwego chleba, owoców i młode siły wzmagają się, krew czysta zagrzewa się przez pracę i leniwe wezasy nie dają jej się burzyć i bić do głowy.

Partya konserwatywna, która stoi obecnie na czele rządów, nie jest przychylna przyznaniu kobietom prawa głosowania na wybory do parlamentu, wytworzyła się już przecież „Liga narodowa głosowania kobiet,” żądająca tego tak, jak poprzednio otrzymały kobiety prawo głosowania na wybory municypalne. Sądzą tu przecież, że rzecz sama przez się umorzona zostanie, bo bardzo niewielka liczba kobiet obstawać przy niej zechce. Druga kwestya podobna wyłoniła się w tym samym czasie, królewskie kolegium medyczne nie chce przyznać kobietom dyplomu na członka tegoż kolegium, równie jak londyńskie kolegium chirurgów i powstała ztąd żywa dyskusya w dziennikach. Kolegium medyczne nie zaprzecza kobiecie prawa kształcenia się na lekarza, przyznaje jej nawet wielką zasługę i użyteczność, kwestyą to jest przecież organizacji spraw medycznych i rzecz powinna zostać przy mężczyźnie. Głos publiczny, wyrażający się przez dzienniki, jest tego zdania, na które i ja się piszę.

Henryk.

Z wrażeń turysty.

IV.

Morzel...

Z odwiecznych potęg przyrody dwie najsilniej działają na umysł ludzki: góry i morze.

Kto się raz wpatrzył w granitowe czoła Alp lub Tatrów, kto kolosy te, chmurami uwieńczone, własną zmierzyl stopą, temu tęsknotę za nimi zdoła zmniejszyć tylko, inna potęga: morze.

Fale oceanu nie zastąpią nigdy gór, tego poematu, wyrwanego z serca ziemi, wykutego w głazach odwiecznych, a opromienionego poezją wszechświata, iluzją jego, z obłoków tkaną. Nie zastąpią gór... Wrażenie to może indywidualne, lecz jak dla mnie bardzo silne. Niemniej, ogrom morski, jako upostaciowanie nieskończoności, przykuwa tajemniczym urokiem, hypnotyzuje poprostu. Łagodne, pociągające niepochwytym czarem, a szum fal jego jak najcudniejsza kołysanka, rozmarza i duszy gdzieś w etery wlatywać każe. Groźne, spienione, ryczące niby potwór apokaliptyczny, staje się dopiero naprawdą, imponująco pięknem. Każda nowa jego fala, rozbijająca się z piekielnym jękiem o wybrzeże, podnosi jeszcze wrażenie; każde spiętrzenie się wyjących bałwanów potęguje wrażenie to i utrwała, niecząc równocześnie grozę wobec rozszalałego żywiołu. Człowiek też, który tam, na wyżynach, wśród, ciszy i spokoju podniebnych, w chmurach ukrytych szczytów, czuł się lepszym i Boga bliższym, tu, maleje; a gdy duch jego nie może rozlukanym wodom pęt nałożyć, unicestwia się i, wobec potęgi tej, atomem, prochem się staje.

Góry podnoszą ducha; morze go upokarza, zmuszając do pocucia własnej bezsilności.

Rzecz prosta, iż wrażenia te porównywać tylko można w obliczu przyrody potężnej i samotnej, a więc na dzikich wyniosłościach lub wśród maleńkiej wioski rybackiej, na samotnem wybrzeżu rzucanej. Nie da ich natura sfałszowana przez wykwint cywilizacji, nie dadzą ludne stacye klimatyczne alpejskie, lub nawskroś sybarycka, od komfortu i zbytku błyszcząca Ostenda.

A jednak i temu pierwowzorowi „elegancyi europejskiej” należy się od nas parę słów wzmianki.

Szpetną i brzydką jest Ostenda, — oto najszczerze moje zdanie. Wygłaszam herezyę tę, z całą cywilną odwagą własnych przekonań, z całym przeświadczeniem, że za śmiałość podobną, gromy spotkać mię mogą. Brzydką jest, bo brak jej obszaru, brak widnokręgu, brak tego, co morze dać powinno: wrażenia potęgi. Szpetną jest, bo zacieśniony się na bardzo niewielkiej przestrzeni, zamknęła w tych kilkudziesięciu domach, pod sznur ustawionych, a chorych chronicznie na brak miejsca i powietrza, cały wielkomiejski, filisterski blichtr i zbytek, w blichrze tym widząc główną swą rację bytu.

Ostenda miasto portowe i Ostenda kąpiele morskie, to dwie rzeczy zupełnie odrębne, jakkolwiek obok leżące i napozór jedną tworzące całość. Miasto, ciasno zabudowane, bardzo handlowe, rozciągające się w dole, między dworcem kolei, portem i wybrzeżem kąpielowem. To ostatnie króluje na wzgórzu i zajmuje tuż nad morzem, linię prostą, na wiorstę może długą, a zwaną *La Digue*. Owa „tama” — to cała Ostenda. Po jednej stronie ulicy szereg pałacy, na hotele przeważnie zajętych, po drugiej, w miast trotuaru, balustrada i morze, które w chwili przypływu u stóp obmurowania się rozbija. Ponieważ każdy dla tego morza tu przybywa, każdy chce widokiem jego i szumem się napawać, a miasto, jako położone w dole nie odpowiada podobnym warunkom, wszyscy więc goście kąpielowi, całe dziesiątki tysięcy cudzoziemców tłoczą się w tej jednej ulicy, przepłacając na wagę złota mieszkania i zamieniając ową *Digue*, w deptak niemiłosiernie przepełniony, w kramarską wystawę bogactwa i strojów.

Gdziekolwiek błyszczy dużo złota, gdzie szampańskie strumieniami, tam z konieczności musi burzyć się pianka, muszą istnieć szumowiny. Otóż, tej „pianki” europejskiej, a głównie paryskiej i londyńskiej, zdaje mi się, że za dużo trochę zbiera się

w Ostendzie. Przybywa ona tu nie dla morza, lecz dla rulety i ruletki; niemniej, roztaczając dookoła właściwy sobie szyk i właściwą atmosferę, innym wrażenie morza psuje...

Nie obmawiamy jednak miejscowości za to, co nie jest jej winą, bo jako naleciałość, wraz z gośćmi, przyniesione zostało.

Jeżeli stanowi ona letni punkt zborny, nietylko arystokracji i plutokracji, lecz zarazem półświatka, wino to z jednej strony, rulety i innych gier hazardowych, z drugiej wszakże wynik położenia geograficznego Ostendy. Oddalona o cztery godziny drogi od Londynu, o pięć zaś od Paryża, musi stanowić pewne ujście dla rozbawionych sfer tej metropolii świata.

Nęci je, tu wszystko: łatwość zabawy, chęć gry i cudowne w rzeczy samej kąpiele. Pociągają one w sposób niepojęty; w największą też wicherę, w największy deszcz, pomimo całej niewygody źle urządzonych *cabine'ek*, poddaje się z rozkoszą ciału pod bicie fal spienionych, przyczem doznaje się pewnego rozczerwiania, jeżeli spiętrzone bałwany sennie lub leniwo ku nam się toczą.

Wpływ wody tej jest tak podniecający, iż w rannych godzinach, wszyscy tu złotym błyszczą humorem. Barwne, strojnie ubrane, choć bosa gromady dzieci, zbierają muszle, kopią wały i forty, lub, brnąc w uciekającej fali, łowią z okrzykami radości *crevette'ki*. Piękne panie i wykwintni panowie urządzają takie same gonitwy za trudnemi do zdobycia *cabine'kami*. Humor ów złoty perli się i falą śmiechu w dal wybiega, a te „rauty“ na wybrzeżu, wśród piasku falą morską, co chwila podmywanego, doskonale urozmaicają pierwszą dnia połowę.

Drugą wypełnia gościom dbały o zabawę zarząd Ostendy. W olbrzymim kursalu, mieszczącym kilkanaście tysięcy osób, o 4-ej zaczyna się już pierwszy koncert, o 8-ej następny, o 10-ej bal, od zmroku zaś: ruleta, ruletki, bilardy liczbowe i wszelkie hazardy. *Rouge et noir*, o stawkach wyższych niż w Monte-Carlo, jest właściwością osobnego, pseudoprywatnego klubu. Trzeba tu być przedstawionym przez dwóch członków i uiścić wpisowe. Inne jej odmiany są dostępne dla każdego, kto osobną opłatą zdobył prawo wstępu do kursalu. Ze w godzinach na grę przeznaczonych, do sal tych dostać się trudno, to rzecz naturalna. Tłum otacza stoły zwartym szeregiem, a błyszczące jego oczy zdają się widzieć jedno tylko: ową kulkę białą, skaczącą po suknie zielonem. Mrowisko to kosmopolityczne, chciwe wrażeń i... chciwe złota, byłoby ciekawym dla psychologa obrazem, gdyby wymalowane lica i krzyczące tualety kobiet, nie nadawały mu pewnej z góry określonej cechy...

Spojrząwszy tej, — przepraszam za zbieg wyrazów, — grającej zgrai, bystro w oczy, mniej czelne z tej chwili i mniej wyzywające, bo całe pochłonięte śledzeniem numerów, cofamy się, żegnani rytmicznie powtarzanym okrzykiem: *Le jeu est fait! Messieurs, faites votre jeu!* Wyrazy te brzmią nam jeszcze w uszach, gdy tuż, obok, wątlą tyłką ścianą od stołów gry oddzielony, przedstawia nam się widok, naiwny prawie w swej prostocie.

To sala balowa Kurhausu. Wielką jej przestrzeń otaczają potrójnym rzędem twarzyczki niewieście. Nie brak tu pięknych, wytwornych i oryginalnych, przeważa jednak stanowczo typ anglo-saski, o rysach delikatnych, rzeźbionych, ale nieco długich i cerze liliowej, jaką mgły Albionu dają tylko kobietom. Mężczyzn kilku zaledwie snuje się około podwoi, a spojrzenia ich poządlwie biegną hen, ku sali gry i rulecie. Wtem, orkiestra uderza w tony prześlicznego tańca, zwanego tu *pas de quatre*, w Niemczech zaś noszącego miano *Rheinländer'a*. Na pobudkę tę, wśród dam: różowych, białych i błękitnych, zapelniających salon, daje się widzieć poruszenie i pewien niepokój. Gdy jednak muzyka nie zwabia zupełnie panów, stłoczonych przy stołach gry, wahanie trwa krótko. Przy drugiej pobudce trzydzieści tysięcy wysmukłych Angielek staje, jak jeden mąż, ujawszy zaś, jedna siostrę, drugą matkę, trzecią córkę lub przyjaciółkę, puszcza się ochoczo w pływ. Panów nie ma, więc cóż robić? Czas zabić trzeba, ruch jest rzeczą higieniczną, że zaś wieczorem w *lawn-tenisie* bawić się nie można, a zatem, jak się rzekło, 30,000 Angielek wstaje, niby jeden mąż, bierze się wpół i tańczy z sobą, tak dla sportu, dla zdrowia i transpiracji

zapewne. Wzajemian trzeba im przyznać, że tańcza z wdziękiem, a trudne ewolucje *pas de quatre* wykonywają tak zręcznie, iż galerya frenetyczne bije im brawa. Owe uroczyste *pas de quatre*, to królestwo Angielek i miejscowego żywiołu. Tony walca dopiero wywabiają kilku męskich tancerzy wśród, których nie brak przedstawicieli i warszawskiej złotej młodzieży.

Ceremonialniejsze i w większych karbach etykiety utrzymane są bale w miejskim kasynie. Gmach to kosztownie urządzone, bogaty w dzieła sztuki, wśród których można by odnaleźć niejedno cenne płótno mistrzów flamandzkich. Gwar jednak balowy i istna wieża Babel języków nowożytnych, z przewagą dźwięków angielskich, nie pozwala ze skarbnicami tymi się zapoznać. *Rheinländer*, tańczony tutaj z udziałem panów, przedstawia się wdzięcznie i malowniczo. Na sali, notując to z naciskiem, ani jednego krzyczącego tualety, lub jaskrawo umalowanej twarzy; mniej również śmiałych i wyzywających podlotków, które stanowią drugą towarzyską plagę Ostendy. Gdyby niepowołanemu wolno było dawać rady doświadczonym matkom rodzin, znalazłbym, że, ze względu na otoczenie i bardzo różnorodne jego żywioły, pobyt nad morzem dla panienek dorastających, stokroć jest stosowniejszym w Heyst, Blankenberghe lub Middlekerke, niż w Ostendzie. To ostatnie miejsce zdaje się być stworzonym dla ludzi dorosłych tylko i skończonych. Panująca tu atmosfera zbytku, gry i zabawy, musi działać ujemnie na nierozwinięte umysły.

Na zwiedzenie osobliwości Ostendy wystarcza kilka godzin: Kościół gotycki, a w nim piękny grobowiec zmarłej tu królowej Ludwika, dłuta Fraikin'a, wystawa obrazów, pełna dziwactw impressywnizmu, nieczem zaś nie spokrewniona z wielką sztuką flamandzką i — oto chyba wszystko. A prawda, — pokrzywdziliśmy ją nie wymieniając kilku bardzo pięknych krajobrazów morskich.

Krajobrazy morskie? Któżby oglądał je tutaj, gdzie morze, morze rzeczywiste, całą potęgę i urok swój roztacza? Małeńka łódka, wzięta u „estakady“, wiezie cię po sennych, nadbrzeżnych falach, wzdłuż szeregu hoteli i will strojnych, hen, po za kursal i ukrytą, w jego cieniu niedłwie, skromną rezydencję króla Leopolda belgijskiego. Minąwszy ów sielankowy *Château du roi*, tracisz z oczu całą załotną, błyszczącą, filisterską Ostendę. Piasek wybrzeże oddala się stopniowo i niknie z oczu; fale, coraz żywsze, nabierają barwy ciemnego szmaragdu, ujętego gdzieś w oprawę ze srebrnych filigranów i łańcuchów. Filigrany te jednak, za zbliżeniem zamieniają się w pianę, która z szumem o łódź twą się rozbija, by opodać uwieńczyć białą koroną, potężny wał wody, z rykiem dążący ku wybrzeżu. Drugi potwór taki, rnehomy, a wspaniały, biegnie na spotkanie wątlęj naszej łupinki. Chwila jeszcze i, spiętrzony nad naszymi głowami, zdaje się pochłaniać nas już i druzgotać w swej paszczy. Łódka jednak, dzięki lekkości swej właśnie, płata mu figla, stanąwszy zaś, na dziobie do góry, znajduje się odrazu na szczycie fali. Wrażenie było silne; niedoświadczonym mogło ono widmo śmierci stawić przed oczami. Rzuciłem okiem na przewoźników; stary wilk morski poruszał flegmatycznie wiosłem, mały wyrostek stanąwszy jedną nogą na krawędzi łodzi, przechylony w tył całą postacią, ścigał sznury żagla. Obaj nie zwracali nawet uwagi na morze spienione. Sprobowiałem zapytać czy zrywający się wicher nie grozi nam niebezpieczeństwem; ludzie ci jednak, prócz po wallońsku, w żadnym języku ziemi, jednego nie rozumieli słowa. Wobec wszelkie spokoju ich zniknęły moje obawy. Nowy bałwan porwał nas tymczasem na swe szczyty, a z piersi wallońskiego rybaka pieśń równocześnie wybiegła...

Ta pieśń tęskna, smutna, płynąca w nieskończoność, oraz ów obszar potężny, beziemierny, grozy i uroku pełen, czar wreszcie wycieczki, wśród fal burzliwych, w łódce jak łupinka kruchej, chwila to tak piękna, iż można dla niej darować banalność modnej Ostendy.

Anatol Krzyżanowski.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż w przeszłym tygodniu wiatr morski napędził na miasto taką ilość wody, że komunikacja została przerwana w wielu miejscach. Rzeka Fontanka wystąpiła tak z brzegów, że część placu admiralicy i cały plac teatralny zostały zalane. Nawa w nocy z d. 13 na 14 rozlała szeroko spienione swe fale, usiłując wydobyć się z łożyska. Co pięć minut rozlegał się przez noc cały huk dział armatnich, jako hasło trwogi, ostrzegające mieszkańców, aby się mieli na baczności przed rozszalałym żywiołem. Skutkiem tej powodzi 75 statków zostało wyrzuconych na ląd, obok tego zatonoło ich dziesięć, napełnionych towarami rozmaitym; woda zalała gmach rady ministerium rolnictwa, instytut górniczy, instytut medycyny, instytut medycyny doświadczalnej, koszary pułku grenadierów i jeden z teatrów miejskich.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż wkrótce rozpocznie pod prezydenturą ministra finansów czynności swoje komisya, debatująca w kwestyi obłożenia akcyzą wina.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności odbyło posiedzenie wydziału kasy pożyczkowej, na którym rozważono 40 prośb osób żyjących z pracy rąk własnych, a z pomiędzy których uwzględniono 39, udzielając ogółem 8,160 rs. Najwyższa pożyczka wynosi 300, najmniejsza 36 rs., a otrzymanie jej wymaga odpowiedniego poręczyciela. Kapitał kasy przedstawiał w d. 1-ym bieżącego miesiąca 73,710 rs., fundusz rezerwowy 36,078 rs., na pożyczkach pozostaje ogółem 51,427 rs.

— Kościół S-go Augustyna fundacyi ś. p. hr. Potockiej jest blizkim ukończenia, usunięto już rusztowanie z wyższej wieży, oraz założono okna i wszystkie części świątyni zostały wykończone, a to: boczne nawy, zakrystya, prezbiterium i kaplica pogrzebowa, która do pewnego czasu oddana będzie do użytku zakładu S-go Stanisława Kostki i w tym celu oddzielono ją chwilowo od świątyni przez zamurowanie drzwi. Otwarcie tej kaplicy dla modłów parafian nastąpi w ciągu zimy bieżącego roku.

— W bocznej nawie kościoła Wszystkich Świętych przystąpiono do ustawienia figury Chrystusa, wykonanej w Rzymie przez rzeźbiarza Brodzkiego, a która została nabyta przez War. Towarzystwo sztuk pięknych. Figura będzie umieszczona na wysokiej podstawie marmurowej i otoczona ornamentacją architektoniczną z marmuru i mozaiki, odpowiadając stylem i rozmiarami ołtarzom, mieszczącym się w tej świątyni. Robotami kieruje budowniczy Kisłański, a zawdzięczyć to wszystko trzeba plebanowi miejscowemu, ks. Matuszewskiemu.

— Wystawa obrazu malarza F. Żmurko: „Widzenie grzesznika“ ma być wkrótce urządzona w pracowni tego artysty, wstęp otwarty tu będzie tylko dla znajomych mu osób, oraz członków prasy i artystów; obraz przesłany zostanie do Wiednia. Podobna wystawa malarza St. Masłowskiego ma być wkrótce urządzona, a będzie tu co oglądać, gdyż zgromadzonych zostanie razem przeszło sześćdziesiąt obrazów, nie wyłączając tych, które już są w posiadaniu osób prywatnych.

— W salonie sztuk pięknych Krywulta wystawiony został obraz dużych rozmiarów Leona Wyczółkowskiego „Krokieta“, przedstawiający tę grę wśród gorących blasków słońca.

— W muzeum rzemiosł urządzona będzie wkrótce wystawa stylowych mebli. Komitet wystawy składają p. p. ks. Michał Radziwiłł, D-r Beni, budowniczy St. Szyller, p. p. S. Wydzga, Trębiecki, Strzałecki i Otwinoski. Przewodniczącym jest Matyas Bersohn. Dział mebli i starożytnych sprzętów pokojowych miejsce tu mieć będzie. Informacyi szczegółowych udziela muzeum rzemiosł, mieszczące się na Krakowskim-Przedmieściu Nr. 66.

— Biblioteka warszawskiego uniwersytetu otrzymała od króla siamskiego dar, złożony z 89 grubych tomów ksiąg buddyjskich. Księgi te, drukowane w Syamie na pięknym papierze chińskim i oprawne bardzo starannie w skórę, ozdobione są helio-

grafowanym portretem króla Siamskiego; dar taki został przesłany i innym bibliotekom uniwersyteckim.

— Starożytny kościółek S-tej Magdaleny, mieszczący się na ementarzu w Opocznie, zostanie wkrótce odnowiony staraniem ks. kanonika Rucińskiego i ks. wikaryusza Posłuszynskiego. Świątynia ta, zbudowana z drzewa modrzewiowego, została wzmocniona silnemi słupami, ściany oszalowano wewnątrz i zewnątrz deskami, dano nowy sufit, nową podłogę i drzwi, odnowiono ołtarz w którym umieszczono obraz S-tej Maryi Magdaleny, pędzla malarza Suckiego, który bezpłatnie go namalował, a dodać trzeba, że artysta ten jest rodem z Opoczna. Ks. Posłuszynski przeważnie przyczynił się do tego wszystkiego zbieraniem przez niego groszem ofiarnym dobrych ludzi.

— W Różnieszewie, w powiecie kozienieckim zbudowany został nowy dom boży murowany, wzniesiony na miejsce dawnego kościoła z modrzewiowego drzewa, który stał lat 300. Zmarły właściciel Różnieszewa, s. p. Józef Więckowski, zapisał w 1863 r., na ten cel 18,000 rs.; budowę rozpoczęto w 1890 r., gdy procenta i ofiary drobniejsze zwiększyły kapitał i stanęła świątynia w stylu gotyckim, której dwie wieże wyniosłe panują nad całą okolicą, a wewnątrz sklepienie, również w tym stylu, podtrzymują cztery kolumny. Konsekracyi dokonał biskup Sotkiewicz, przy czem gospodarz ze wsi Boguszki, Szepepan Byk, złożył 150 rs., na tabernaculum.

— Krakowskie Tow. sztuk pięknych wniosło do rady miejskiej podanie o bezpłatne użyczenie mu części placu Szczepańskiego pod budowę własnego gmachu, w którym mieściła by się niustająca wystawa sztuki. Lokal w Sukiennicach został Towarzystwu wymówiony przez gminę miasta z powodu, iż zamierza ona rozszerzyć własne muzeum sztuki, zapoczątkowane już przez H. Siemiradzkiego. Jaką będzie odpowiedź? niewiadomo, w każdym razie Towarzystwo musi posiadać własną siedzibę, a ma na ten cel kapitał znaczny. Nowy dyrektor, J. Fałat, bardzo gorliwie oddaje się sprawom powierzonych mu instytucji.

— Dzienniki lwowskie doniosły, iż wypłynięcie okrętów z emigrantami galicyjskimi z Genui zostało wstrzymane do kwietnia, w skutek tego rząd włoski zamknął granicę dla wszystkich emigrantów i kilkanaście rodzin, wybierających się w tę podróż i przebywających już w Genui, wraca do kraju.

— Wydział krajowy uchwalił wzięcie udziału w obchodzie jubileusza Smolki i wystosował do jubilatów w imię dnia uroczystego adres, wyrażający uznanie dla jego cnót obywatelskich i szlachetnie pędzonego życia.

— Sezon opery we Lwowie ma być zainaugurowany „Gopłaną“ Żeleńskiego i próby chóralne tej opery już są rozpoczęte. Szkoła opery ma tam powstać z d. 1-go grudnia, założona przez nauczycielkę śpiewu p. Paulinę Stróżecką i śpiewaka operowego, a obecnie reżysera opery lwowskiej, Mieczysława Kamińskiego. P. Stróżecka jest uczennicą Lampertiego (ojca). Ma we Lwowie od lat dziesięciu szkołę własną, repertuaru operowego uczyć będzie tak, jak w szkole własnej w polskim, francuskim, włoskim i niemieckim języku.

— W Czerniewcu, w Prusach Zachodnich, majętności p. Modrzejewskiego poszukując źródeł wody natrafiono w głębokości 125 metrów na pokłady soli kuchennej. Modrzejewski zwrócił się do władz rządowych o pozwolenie urządzenia kopalni soli i wapna.

Co mówią kwiaty

zebrała i ułożyła

Marya Piechocka.

Palma.—Tryumf. Zwycięstwo.

Zwykle gałązki palmowe znaczą tryumfatorów. Dawniej przedstawiano zwycięzców stojących na wozie, z wieniec laurowym na skroniach, a palmą zwycięstwa w ręku. Święci, oddający krew za wiarę otrzymują palmę męczeńską. Poeści stawili palmowe Idumei.

Gdy Chrystus Pan Zbawca świata odbywał tryumfalny wjazd do Jerozolimy, na kilka dni przed meką swoją, towarzyszący mu żydzi nieśli gałęzie palmowe w ręku krzycząc: Hosanna synowi Dawidowemu! Od tej pory dzień ten święcimy jako niedziele kwietnią lub palmową.

Legenda Palmowca.

Stosując się do rad anioła, Józef i Marya z Jezusem na ręku, umknęli za pierwszym pianiem koguta przed pogonią żołnierzy Heroda. W połowie dnia przybyli pod pień sykomy. Marya była znużoną, głodną, spragnioną. Usiadła w cieniu drzewa, aby odpocząć, a ztąd rzucając wzrokiem dokoła, ujrzała daktylowiec uginający się pod owocem i rzekła: „Gdyby to było możliwem, jak chętnie posiliłabym się daktyłami. Na te słowa św. Józef skierował swe kroki do drzewa i wstrząsnął nim, ale na próżno. Gałęzi dosięgnąć nie można. Chodźmy dalej, może znajdziemy inne, dostępnejsze drzewo. Ale Dziewica nie poruszyła się z miejsca dla zmęczenia i głodu. Wtenczas dziecię rzekło odwracając główkę: „Nachyl się piękny palmowcze, i sam podaj owoce świętej matce mojej; a posłuszna palma ugięła się tak, że Marya zerwała dowolnie potrzebny zapas; po wyprostowaniu drzewa, było o wiele więcej owoców niż przedtem.

Podeczas gdy Marya jadła daktyle, mały Jezus bawił się wykopywaniem dołka w piasku.

Ztąd wytrysło czyste źródło, aby ugasić pragnienie Najświętszej Dziewicy.

W chwili, gdy Jezus opuszczał te miejsce, rzekł do drzewa swym słodkim głosem:

Dziękuję ci w imieniu mej matki dobra palmo; w nagrodę usług jej oddanych, rozkazuję aniołom moim nosić twe gałęzie w raju mego Ojca. Od-tąd wieńczyć będziesz czoła tryumfatorów wiary; będziesz dla nich palmą zwycięstwa.

Rzekł i oto anioł zawisł w przestrzeni błękitnymi skrzydłami, unosząc w niebo palmę zerwaną z gościnnego drzewa.

Paproć.—Szczerść.

Dlaczego paproć jest godłem szczerści?

Może dla żywej i świeżej zieloności, a może do-kładnie zarysowana koronka liści, przypomina zale-tę tak miłą, jak uścisk dłoni serdecznej, jak uśmiech dziecięcy, jak łza matki podczas modlitwy!

Szczerść jest zawsze pochwałą godną, ale zawsze powinna być roztropną.

Zawsze powinniśmy mówić szczerze, ale nie zawsze, zmuszeni jesteśmy mówić. (Fléchier).

Pietruszka.—Festyn. Uczta.

W starożytności podczas igrzysk istmijskich dawanych na cześć Neptuna, wiencono zwycięzców girlandami z pietruszki. I greccy biesiadnicy do-

bili podobnie swe czoło. Dzisiaj, artyści kulinarni, wienczą tą rośliną... półmiski!

W biesiadach dość być wesołym, aby być uprzej-mym.

Piolum.—Rozłąka.

Roślina ta, zawiera wiele goryczy, słusznie zatem uważana jest za symbol rozłąki. Do widze-nia, żegnaj, jedź z Bogiem, co za smutne słowa i jak boleśnie rozbrzmiewają w duszy. Ileż to razy w chwili wyjazdu, czując, że ból targa pierś, a ból przyniata serca, wznosiliśmy oczy ku niebu ze łzą rozpacz:

Boże, dlaczego doświadczasz tak ciężko serca na-sze! dlaczego pozwalasz, aby się rozłączali ci, któ-rych łączy miłość, przyjaźń i wszystko, co święte i drogie!

Dlaczego?... Tak, Bóg tego żąda, abyśmy uczu-cia swe odrywali od ziemi, jako od miejsca pielgrzy-mów. A czyż nie jest dobroczynnem to stopniowe przygotowanie do wielkiej i nieuniknionej rozłąki, której na imię... Śmierć...

Często mówimy: do widzenia; z kąd bierze się ten głuchy dźwięk, co odpowiada przyrzeczeniom na-szym nigdy... nigdy!...

Piwonia.—Wstyd.

Rumieniec ciemny, rumieniec wstydu, zabarwia kwiat trój rośliny. Jak niepodobną jest ta barwa do różowych lic trwożnej i niewinnej młodości.

Wstydić się samego siebie, jest największą mę-ką ludzkości.

Piwonia była niegdyś bardzo sławną; oddalała burze, chroniła od zakłęb, odwracała plagi, leczyła wielką chorobę. Imię jej „poenia“, pochodzi od Poena, sławnego lekarza, który leczył nią Plutona, ranionego przez Herkulesa. Dzisiaj piwonia jest pięknym i wspaniałym kwiatem, pogardzonym przez amatorów dlatego jedynie, że jest powszedni! Dzięki ci Boże za wszystko, co stworzyłeś powszed-niego; dzięki za błękit nieba, za słońce i gwiazdy i wody szemrzące i cień dębów stuletnich. Dziękuje Ci Boże za polne gwoździki i bławatki! Dzięki za śpiew skowronka i hymny słowicze! za wonie powietrza i szum wiatru między liśćmi. Dzięki za chmury, kąpiące się na wschodzie i zachodzie słoń-ca, i za wszystkie cuda, które w dobroci i wspania-łości Twojej, raczyłeś uczynić powszedniemi. (Alfons Karr).

Platan.—Geniusz.

Majestatyczny cień platanów, sławili prorocy izraelscy i filozofowie pogaństwa.

W Grecyi, czcili to drzewo poświęcone bogom i dobrym duchom.

Geniusz jest to tylko długa cierpliwość (Buffon). Jest pewien rodzaj geniuszu, który wyłącznie zda-je się należeć do ziemi; wtenczas, objawia się jako siła; drugi bierze początek na ziemi i w niebie: jest-to podniosłość ducha; inny nareszcie z Boga tylko, płynie i rozlewa mądrość i światło. Każda bowiem jasność z góry, pochodzi. (Joubert).

Geniuszem jest wyobraźnia, co tworzy śmiało, rozmyśla głęboko, użyźnia cierpliwie, porządkuje rozumnie i zręcznie wiąże. (Tissot).

Pokrzywa.—Okrucieństwo.

Ileż to razy zdarzyło się nam ukłuć pokrzywą, szukając w gęstej trawie wonnych fiołków.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.“ Przekład z niemieckiego, ark. 12.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ??—Miłość, przez R. J.—Kazimierz Gliński. Kłeska Powieść (dalszy ciąg).—List z Anglii, przez Henryka.—Z wrażeń turysty. IV., przez Anatola Krzyżanowskiego.—Z bieżącej chwili.—Co mówią kwiaty, zebrała i ułożyła Marya Piechocka.

Dodatek obejmuje: Za późno, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“ przekład z niemieckiego ark. 12-ty. — Przegląd mód. 19 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 8 Ноября 1895 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.